

# PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

20

Ogarniało mnie coraz większe znużenie, lękałem się, czy nie zabraknie mi sił do wydostania się z powrotem na wierzch i czy światło pochodni mojej na długo jeszcze wystarczy. Położenie moje nie było do pozazdroszczenia.

Po półgodzinnej takiej niewdzięcznej gimnastyce, zniechęciłem się zupełnie i chciałem się już, wyrzekając głośno, zdecydować na odwrót, kiedy ku mojemu przerażeniu nie napotkałem już ogniw żelaznych pod nogami, po których schodziłem dotąd. Ujrzałem przed sobą błotnistą kałużę, która zapewne być musiała wyschniętym łożyskiem rzeki jakiejś lub podziemnego kanału. W cuchnącem błocie pogrążone były duże szkielety. Rozpoznałem w nich natychmiast gigantyczne krokodyle, napół węże i napół ropuchy, których kość grzbietowa długości dwudziestu mniej więcej metrów, teraz w kabłąk zgięta, łączyła się z kością pacierzową, szeroka i krótka. Drobnie skrzydła, złożone z cienkich, licznych kostek, musiały być pletwami, zastępującymi łapy.

Poruszony żywą ciekawością przebrnąłem przez ten błotnisty kanał. Byłem przekonany, że dotarłem do jakichś ciekawych odkryć wielkiej wagi. I nie mogło być inaczej. Bo w jakimże celu nagromadzono tu tyle przeszkód, jakgdyby broniących przystępu do nieocenionych skarbów: bramę żelazną, studnię i ten głęboki kanał, gdzie najodważniejsi mogli paść ofiarą swojej niepotrzebnej ciekawości. Ale po tem wszystkim czas nieubłagany i bezwzględny przeszedł spokojnie, nie troszcząc się o wyrządzone szkody. Rdza zeżarła metal bramy, kanał wysechł, a potwory, pozostawione tam jako odstraszające stróże, zdechły z głodu lub starości.

A ja, przybysz z dalekich stron, z najodleglejszej planety miałem zebrać owoce tych stuletnich zbiorów!

Stałem na odłamie granitu, naprzeciw portyku pokrytego ciemną powłoką wilgoci i pleśni. Po przeciwnej stronie cztery czarne figury nieruchome, wzrostu wysokiego człowieka, klęczały przed wielkim, płaskim puharem, na którym błyszczał przedmiot jakiś, który wzięłem za ogromny drogocenny kamień.

Wykute w granicie, pierwotnym połączeniem stylów archaicznych, figury te przedstawiały Erloora, człowieka morskiego i Marsiana z lagun; czwarta wyobrażała jedną z tych istot, napół mięczaka i napół nietoperza, które widziałem wyhaftowane na materiałach, znalezionych w galerii wieży.

Przypuszczałem, że błyszczący kamień był symbolem i bożyszczem wszystkich tych ras.

Posunąłem się naprzód drżąc z niecierpliwości gorączkowej, ale zaledwie uszedłem dwa kroki, gdy olbrzymi odłam oderwał się od sklepienia z przerażającym loskotem i upadł niedaleko mnie. Gdyby nie trzask ostrzegający, który zwrócił moją uwagę i wywołał szybkie cofnięcie w tył, byłbym nędznie poległ pod ciężarem monolitu. Był to niebezpieczny samotrzask, zastawiony rozmyślnie dla niepowołanych profanów! Bożyszcze nieznane było dobrze strzeżone przed oczami ciekawych intruzów!

Ostrożnie i zniecierliwieniem obszedłem wokoło blok, pod którym o mało co zmiażdżony nie zostałem i pochwyciłem błyszczący kamień, ten symbol tak przebiegle zachowany dotąd. Zdziwienie moje nie miało granic! Była to maska, albo rodzaj kasku — jedno i drugie w połączeniu, bo można go było włożyć na głowę aż po same uszy, wyrznięty z kamienia, promieniującego zielonymi i różowymi błyskami, jak najcudowniejszy olbrzymi opał.

Pochodnia moja wypaliła się już do trzech części; najwyższy czas był powracać tą samą drogą, inaczej groziła mi śmierć w tych niebezpiecznych ciemnościach, gdzie mogłem natknąć się na inne jeszcze przykrzejsze niespodzianki. Drogę powrotną dokonałem nadludzkim wprost wysiłkiem. Drapanie się po stromej ścianie studni i czepanie się ogniw żelaznych, okazało się o wiele trudniejsze teraz, niż przy zejściu. Przytem byłem już tak zmęczony i wzruszony nadzwyczajnym odkryciem, że nogi odmawiały mi już posłuszeństwa.

Na całą tę wyprawę podziemną straciłem prawie pół dnia. Noc już zapadła, gdy znalazłem się w galerii podmorskiej. Odpocząwszy i nasyciwszy się należycie, przyszła mi nagle ochota, zupełnie chyba wytłumaczona, włożyć na głowę kask opalowy, zdobyty z narażeniem życia. Ale zaledwie oczy moje znalazły się naprzeciw przezroczystych otworów

maski — doznałem dziwnego uczucia i niezwykła jakaś przemiana uczyniła się we mnie.

Ciemna galeria rozbiła się nagle oślepiającym światłem. Widziałem snopy fosforycznej jasności, nie dostrzeżone dotąd. Miały one jasno zielone i fioletowe zabarwienie. Zrozumiałem wówczas, że kask opalowy posiadał przedziwną właściwość działania na soczewkę w specjalny sposób, ułatwiając przyjmowanie wrażeń ocznych i chwytanie ciemnych promieni wydzielanych z niewidzialnych gołem okiem przedmiotów i różnych radium tego samego gatunku.

Wtedy pojąłem dokładnie, dlaczego dawni właściciele tego cennego przyrządu strzegli go tak zazdrośnie i zaciekle. Przy użyciu tego cudownego kasku mogłbym teraz dostrzec ujście świetlane radium i promieni x i innych świetlnych wibracji, subtelniejszych jeszcze i bardziej niepochwytanych dla oka ludzkiego, dla którego może na zawsze staną się niedostrzeżone!

Nie jestem w stanie opisać dziwnego wrażenia, jakiego doznałem poznawszy ten fakt.

Ale zaledwie otrząsałem się cokolwiek ze zdumienia i zachwytu wywołanego tem nadzwyczajnym odkryciem, kiedy jakiś kształt skrzydlaty otarł się o mnie. Zanim zdołałem oprzytomnieć, stworzenie to, czy ptak uleciało szybko w stronę wieży kryształowej.

Powstałem natychmiast silnie wzruszony, postępując w ślad tego cienia, przeczuwając, że nareszcie jestem na drodze odkrycia tajemniczych mieszkańców uspiętego pałacu!

Po drodze musnęły mnie przelotnie inne cienia, ale tak szybko, że nie zdołałem przyjrzeć im się dokładnie. Wydrapałem się czempredziej na górę i wbiegłem do korytarza z kryjówkami.

Niema słów dosyć wyrazistych na opisanie przerażającej wizji, jaką ujrzały moje oczy. Zaden język ludzki nie jest w stanie oddać wstępu i okropnego przerażenia, jakim uległem! Każda z kryjówek wspaniałego Coloseum kryształowego, które obecnie dwa księżycy marsowe, Phoibus i Deimos oświeślały przepychem swoich promieni — zajęta była przez potwora, promieniującego fosforycznym blaskiem; głowę miał olbrzymich rozmiarów, wstrętą, umieszczoną pomiędzy dwoma skrzydłami, brudnej białości.

Ciała nie miał, tylko w miejscu rąk liczne ssawki, które szmerząc nieprzyjemnie poruszały się ciągle, podobne do zwojów małych węzów. Oczy były szerokie, bez powiek; zauważyłem również brak nosa, a usta rysowały się maleńkim, purpurowym znakiem.

Przy tym dokładnym opisie, słuchacze Roberta Darvela zamienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenie, pełne grozy i zdumienia. Lord Frymcoock przerwał stenografowanie i z ołówkiem w ręce patrzył przerażony na opowiadającego. Zaruk pod skórą brązową zbładł silnie i stał się szaro żółty, a mała Cherifa trwożliwie przytuliła się do miss Alberty. Zasugerowany wspomnieniem tych zatrważających i niezapomnianych przeżyć, młody inżynier rozpoczął mówić dalej, nie zauważywszy wrażenia, jakie wywołał swoim opowiadaniem.

— Cały ten tłum zwracał ku mnie olbrzymie, martwe żrenice i nagle ostry, gardłowy okrzyk zerwał się tłumnie z centralnej kryjówki i wzniósł się ku niebu.

Rozpoznałem w tym strasznym, piekielnym akordzie, po setki razy powtórzony wybuch ironicznego śmiechu, prześladowającego mnie od tak dawna.

Cała krew zbiegła mi do serca, stałem przykuty do miejsca lękiem przechodzącym pojęcie ludzkie, a krzyk szedł do mnie jak szum zbliżającej się burzy.

Uniesiony ostatnią, rozpaczliwą odwagą, albo może też instynktownym odruchem samozachowawczym, odwróciłem się i zacząłem uciekać co sił mi starczyło. Czułem skrzydła wyrastające mi u ramion. Zatrzymałem się dopiero w głębi najciemniejszej galerii, gdzie znajdowały się zachowane mumie, a wiedziałem, że i tutaj nie znajdę bezpiecznego schroniska przed Wampirami — bo tak ich odtąd nazywać zacząłem — wobec których Erloory byli tylko spokojnymi i nieszkodliwymi potworkami.

Gdybym miał siły dostateczne, byłbym z powrotem ukrył się w głębokiej studni, gdzie znalazłem kask opalowy. Ah! jakże teraz rozumiałem staranne ukrycie fatalnego talizmanu, który pozwalał dostrzegać rzeczy niewidzialne! I nie dziwiłem się już, że strzeżono go tak zazdrośnie! A więc od tyłu dni żyłem w towarzystwie tych okropnych stworzeń, nie wiedząc o tem, nie przeczuwając niczego!... Zapewnie bawili się doskonale szpiegując mnie, jak czyni się ze zwierzęciem domowym, które uciec da-

leko nie jest wstanie i które odnajdzie się zawsze w chwili stosownej, wybranej na ofiarę!...

Moje niewytłumaczane przejścia ubiegłych dni były dla mnie teraz jasne i zrozumiałe!

To były Wampiry, które zaczajone w zaroślach powietrznych, spowodowały nagłą śmierć moich biednych Marsianów, a które uwięziły mnie w niezrozumiałym dla mnie sposobie. Czułem jeszcze na ciele mojem dotknięcie lepkie ich ssawek i drżałem na wspomnienie strasznego niebezpieczeństwa, na jakie się narażałem, wstępując w jedną z kryjówek tych przerażających potworów.

Miseczki napełnione krwią świeżą wskazywały mi dostatecznie, jakie było ich codzienne pożywienie.

Przekonanie, że mogę istnieć na tej planecie, gdzie jak sądziłem przebywają tylko dzikie, nieszkodliwe stworzenia lub głupie Erloory — istoty niewidzialne i drapieżne, przejmowały mnie przykrem zdumieniem.

Napróżno przywoływałem na pomoc dowodzenia naukowe i przykłady doświadczone już, myśl, że jestem na łasce tych widmowych kreatur, była mi nieznosną. I jakim sposobem mogłem uniknąć blizszego spotkania się z nimi?

Spędziłem kilka godzin zaczajony, jak dzikie, tropione zwierzę, pomiędzy szczątkami dwóch kul sferycznych, z gardłem ściśniętym śmiertelnym lękiem i czołem pokrytym zimnym potem.

Byłem w oczekiwaniu, że lada chwila posłyszę miękkie trzepotanie skrzydeł Wampirów, które przybędą, naigrawając się ze mnie i wyciągną mnie przemocą z mojej chwilowej kryjówki!... Dziwię się, że nie oszalałem z tego okropnego wrażenia! W uszach brzmiało mi ciągle echo piekielnego okrzyku, jakim powitali mnie — i na to wspomnienie zamierałem prosto z przerażenia, czując drętwienie całego ciała i szalone, nierówne bicie serca! I zdaje się, że tylko temu nadludzkemu naprężeniu nerwów winienem, że nie straciłem całkiem przytomności!...

Jednakże godzina za godziną upływała, a żaden szmer nie wtargnął w ciszę panującą w podziemnej galerii. Przypominałem sobie w końcu, że mam w posiadaniu kask opalowy — i skorzystałem z niego, podchwytyjąc wszystkie ruchy moich nieprzyjaciół, przedtem dla mnie niewidzialne! Była to w każdym razie wielka ulga dla mnie i dobrodziejstwo. Czuć wokoło siebie ukrytych wrogów a nie móc ich widzieć, nie móc śledzić ich zamiarów względem mnie, byłoby jeszcze straszniejszą męką. Zachowałem więc na głowie ten ciężki kask, nie śmiejąc go zdjąć ani na chwilę, nie śmiejąc zasnąć tej okropnej nocy!

Robert Darvel przesunął ręką po czole, ruchem silnego wzruszenia, jakgdyby raz jeszcze przeżywał te wstrząsające chwile. Pitcher nie mógł spokojnie usiedzieć, chciał zawołać do swojego przyjaciela, że Wampiry zawiadnęły już Ziemią, że są tu, krążą koło nich, około willi i że grozić im może wielkie niebezpieczeństwo! Ale stanowczym ruchem miss Alberta nakazała mu spokój i milczenie. Lepiej było pozwolić Robertowi dokończyć opowiadania. Będzie czas na ostrzeżenie go jeszcze o grożącym niebezpieczeństwie, na które on zapewne sposób obrony znajdzie. Pitcher jednak potrząsnął głową na znak niezadowolenia, ale milczał, podczas gdy Robert, który przypisywał tylko słowom swoim przerażenie, malujące się na wszystkich twarzach, mówił dalej bez przerwy:

— Zdziwicie się zapewne, gdy wam powiem, że od tego dnia upłynęło dwa tygodnie, nie przynosząc nic niepokojącego. Przeciwnie, przyzwyczaiłem się do obecności moich ciekawych dozorców i nawet o ile tak się wyrazić mogę, żyłem z nimi i byłem na przyjaznej stopie. Przekonałem się, że nie tylko nie pragnęli uczynić mi coś złego, ale opiekali na mojej osobie wielkie nadzieje; krzyki i mruczenia, jakimi mnie tak owacyjnie przyjęli, były z wszelką pewnością specjalnym im wyrazem ogromnego zdziwienia, jakiego doznali, ujrawszy mnie nagle w błyszczącym kasku opalowym i spostrzegłem, że zdobycie tego cennego talizmanu podniosło mnie w ich oczach. Nie zbliżali się, tylko patrzeli na mnie z pewnego oddalenia, wyrażając wstrętnym mručeniem swoje zdumienie.

Podczas dnia widywałem ich rzadko; w przeciwnieństwie Erloorów już ze wschodem dnia oddalali się tłumnie, aby powrócić wieczorem, zając zwykłe miejsca, każdy w swojej kryjówce przeznaczanej mu w obszernym amfiteatrze. W jaki sposób i kiedy przygotowywali sobie miseczki z krwią świeżą do picia, tego nie dowiedziałem się nigdy, bo kryli się zazdrośnie z tą czynnością przedemną. Ich niewidzialność musiała im bardzo ułatwiać chwytanie żeru, ale posądzałem ich, kierowany smutnem doświadczeniem, że Erloory i Marsianie z lagun, stanowili główną część ich pożywienia.

C. d. n.